

► Mam z tego balu świetne zdjęcie, na którym stoję w otoczeniu kilkunastu koleżanek i każda z nich trzyma w rękach mój plakat wyborczy. Niedzielę 4 czerwca spędziłem w domu – oczywiście idąc głosować. W poniedziałek 5 czerwca nad ranem miałem kilka telefonów od moich mężów zaufania, którzy przekazywali mi informacje ze swoich komisji wyborczych – w każdej z nich było to samo – razem z Zosią wygrywaliśmy wyraźnie z pozostałymi kandydatami. Pomimo świetnej atmosfery na spotkaniach z wyborcami wcale nie byłem pewien wygranej z dwóch powodów – po pierwsze moim kontrkandydatem na drugie „biorące” miejsce (pierwsze według zgodnej opinii miała zająć prof. Kuratowska) był ówczesny wojewoda sądecki, pomimo związków z PZPR cieszący się dobrą opinią, po drugie obawiałem się, czy Górale zechcą na mnie głosować, zważywszy ich znaną niechęć do Nowego Sącza.

Pamiętam swoją radość, jak zobaczyłem ogólnopolskie wyniki wyborów, z których wynikało, że wszyscy kandydaci Komitetu Obywatelskiego do Sejmu wygrali, a do Senatu weszło 99 naszych na 100 miejsc. Radość gasiła informacja o frekwencji wyborczej – głosować poszło tylko 62% uprawnionych. Zakładając, że do wyborów poszli wszyscy zwolennicy zmiany systemu politycznego oraz że głosować poszła większość zainteresowanych utrzymaniem władzy przez PZPR – to oznaczało, że ponad 1/3 dorosłych Polaków przyszłość Polski nie interesuje. To był dla mnie szok!

Ostateczne wyniki wyborów do Senatu w naszym województwie okazały się jednoznaczne – Zofia Kuratowska otrzymała ponad 231 tysięcy głosów, ja 205 tysięcy, a mój główny

konkurent tylko 24 552 głosy. Znałem listę kandydatów do Senatu z ramienia KO już przed wyborami i było dla mnie jasne, że jeżeli wygram, to znajdę się w niezwykle ekskluzywnym towarzystwie. Wśród wybranych senatorów było aż 29 osób mających co najmniej stopień naukowy doktora habilitowanego, ponadto 9 osób posiadało stopień doktora. Wśród senatorów były tak znane postacie, jak Gustaw Holoubek czy Andrzej Wajda. Senatorami zostali bracia Kaczyńscy. Następane dni po 4 czerwca były pełne emocji – z jednej strony to radość i dumą, z drugiej strony świadomość, że jestem amatorem w polityce, i obawa, czy dam sobie radę. Pojawiały się też plotki, że przegrana strona może posunąć się do użycia siły na wzór 13 grudnia 1981 r. Na szczęście nic takiego się nie stało i 5 lipca złożyliśmy ślubowanie.

W tamtych dniach wydawało mi się, że potrafię pogodzić pracę w Senacie ze swoją pracą zawodową (a kończyłem wdrożenie – na poziomie półtechniki – niezwykle kompozytu CC) – skończyło się pobytem szpitala i skoncentrowaniem się na pracy w Senacie do roku 1991.

Podsumowując swoje dotychczasowe życie, muszę stwierdzić, że jestem wielkim szczęściarzem – przeżyłem trzy niezwykle wydarzenia (na granicy cudów), które niezwykle mocno wpłynęły na historię Polski – wybór kardynała Karola Wojtyły na papieża w 1978 r., rewolucję Solidarnościową lat 1980–1981 oraz wybory 4 czerwca 1989 r. Mam też satysfakcję, że utworzyłem z niczego moją Wyższą Szkołę Biznesu – National Louis University, która wygrywała rankingi przez 10 lat i kształciła ponad 12 tysięcy absolwentów.

KRZYSZTOF PAWŁOWSKI

Ślub

Podobno wielu mężczyzn ma kłopoty z zapamiętaniem daty swojego ślubu. Nie ja. Elżbieta i ja wzięliśmy ślub ostatniego dnia komuny, a teraz wystarczy tylko odjąć jeden dzień od daty 4 czerwca 1989.

Dla mnie ta data oznaczała nie tylko wielką – większą, niż ktokolwiek się spodziewał – zmianę polityczną w naszym kraju, ale także olbrzymią zmianę w życiu osobistym. W dodatku byłem wtedy w wojsku jako podchorąży, co z jednej strony uniemożliwiło mi zaangażowanie się w kampanię wyborczą, ale z drugiej mogłem obserwować zmiany polityczne z nietypowej perspektywy. Od początku 1989 roku służyłem w Bydgoszczy, wcześniej byłem w Świeciu nad Wisłą. W Bydgoszczy był wtedy cały kwartał wojskowy, gdzie sąsiadowały ze sobą liczne jednostki. Na terenie tego kwartału, w samych jednostkach i w ich pobliżu, wisiały plakaty kandydatów PZPR i „niezależnych” kandydatów, konkurujących z kandydatami Komitetu Obywatelskiego o miejsca dla opozycji. Pamiętam, że jednym z nich był brat kardynała Józefa Glempa, inżynier Jan Glemb (taka pisownia), dość mocno promowany. Oczywiście w mieście zdjęcia z Wałęsą były. Część kolegów próbowała uczestniczyć w kampanii wyborczej, rozwieszała plakaty Komitetu Obywatelskiego i całkowicie wbrew regulaminowi przypinała sobie znaczek Solidarności do mundurów, za co niektórzy z naszych przełożonych próbowali ich szykanować. W ogóle oficerowie Ludowego Wojska Polskiego czuli się strasznie w tej sytuacji zagubieni. Jeszcze pod koniec 1988 roku na szkoleniach politycznych straszono nas Solidarnością, przygotowywanymi przez nią listami proskrypcyjnymi i współpracą z wrogimi ośrodkami, a kilka miesięcy później trzeba było traktować Solidarność jak

mniej więcej normalnego uczestnika życia politycznego. Z tego zagubienia zapewne wynikało, że szykany, jakie spotykały moich kolegów, nie były szczególnie uciążliwe.

Jednego z moich przełożonych, naszego oficera politycznego, chcę wspomnieć osobno. Otóż kapitan D. tłumaczył nam, że w wojsku wszystko trzeba robić na rozkaz. „Jak będzie taki rozkaz, to ja nawet z wojskiem do kościoła mogę pójść, a jak nie będzie, to nie pójdę. I wy tu, podchorążowie, nie będziecie tego a tego robić, jeśli nie będzie rozkazu”, mówił. Jestem przekonany, że rok, dwa lata później D. bardzo gorliwie chodził z wojskiem do kościoła, nawet bez wydanego wprost rozkazu. Chodził, a nawet siadał w pierwszych ławkach. Taki typ człowieka.

Żeby wziąć ślub i móc głosować w wyborach, musiałem dostać urlop. Zostałem więc krwiodawcą, bo za każdą porcję oddanej krwi przysługiwał dzień urlopu, który w dodatku można było wziąć w dowolnym terminie. Uciałem bodaj tydzień, ale to mi wystarczyło.

Po weselu poszliśmy do domu. Głosowaliśmy dopiero po południu, już przebrani, choć Elżbieta później żałowała, że nie poszła do wyborów w sukni ślubnej. Moja mama z kolei żałowała, że ze względu na nasz ślub, nie mogła zostać mężem zaufania Komitetu Obywatelskiego, choć jej to proponowano. A następnego dnia słuchaliśmy napływających wyników: Prawie wszyscy kandydaci Komitetu Obywatelskiego zostali wybrani, prawie nikt z kandydatów PZPR i stronnictw sojusznicznych nie został, lista krajowa padła. W Warszawie przegrał Jerzy Urban, brat prymasa też przepadł. Jeszcze nikt nie rozumiał, co z tego wyniknie, ale to, że głosujący wypowiedzieli się przeciwko istniejącemu systemowi, było zupełnie oczywiste.

PAWEŁ F. GÓRA